ROZMAITOSCI WARSZAWSKIE.

Ner 95. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — 1834.

BANKRUT.

Z francuzkiego Pana Jacob, znanego pod nazwą: Bibliophil.

(Ciąg dalszy.)

Trzydzieści dni upłynęło w jednostajności żalu. Anna ściskała we łzach sieroty, które dla wieku swego nie mogły czuć opłakiwanej dla nich straty; w myśli miała tylko obraz swego zmarłego i zeszpeconego męża, przypominając go sobie nieustannie z nowem łkaniem; wiadomość o ocaleniu części jego majątku była dla niej prawie obojętna: jeżeli bowiem pieniądze służą do uzupełnienia szczęścia, w nieszczęściu mniej ważą. Filip de Mellevas nie odstępował jej od rana do wieczora, mieszając zmartwienie przyjaciela z żałobą małżonki. Poranki i wieczory, które spędzał w smutnej rozmowie z piękną wdową, były dla niego niewymownym powabem, i nie tłumiąc w sobie uczucia, którego doznawał, poił się rozkoszą na widok tak spłakanej niewiasty. Często, wziąwszy z uniesieniem jej ręce, ściskał je; często oczy ich wespół we łzach się rozpływały i niecîły w obojgu dziwne roztargnienia, na których wzajemne sobie udzielenie słów nie mieli. Co do mnie, ile mogłem, najmniej przerywałem to *sam-na-sam* wpół żałobne, wpół tkliwe. Będąc opiekunem, całkiem byłem zatopiony w sprawach spadkowych.

Jednego wieczora, kiedy Filip i Anna byli kilka godzin wciąż sam na sam, nie postrzegłszy, jak długo szedł zegar, ten rodzaj wzajemnego pociągu serca, w którym jedno do drugiego w milczącem dąży porozumieniu, zdawał się być bardziej nieodpornym, i zbliżał je do siebie węzłami czułości.

— Pani, rzekł jąkając się Mellevas, lepiejby było, żeby P. D* nie był się nigdy z tobą ożenił!

— I ja tak myślę, odpowiedziała otwarcie, albowiem chwile szczęśliwe, które z nim przepędziłam, sowicie powetowane są okrutną zgryzotą, którą mi sprawił.

— Zapewne okrutnej potrzebował odwagi dla opuszczenia życia, któreś mu Pani tyle upiękniała. Biedny przyjacielu, czemużeś się nam nie zwierzył z swojemi interesami? Do mnież to należy powiedzieć, że nie był ciebie godzien, a jeszcze mniej godzien twojej miłości? zniósłbym raczej wszystko, niżelibym sobie życia ukrócił, gdybyś je ty, Pani, upiękniała: miłość jest na wszystko pociechą.

— Miłość!.. ah! Filipie, bez wątpienia kochałam P. D*, kochałam go, jak brata, lecz kochanie to nie było wcale miłością,... dla niego nigdy!

— Co mówisz? prawdaż to! jakto! a więc nie była to miłość, lecz obowiązek przyjaźni? tak jest, przyjaźń, twoja przyjaźń jest wielkim skarbem!

— Cieszę się, że ją Pan cokolwiek cenisz; nie dziw się jednak, żem nigdy nie czuła miłości... dla mego męża.

— A przecież myślał, że czujesz dla niego miłość; kilka razy mi powtarzał, że miłość ta jest całą jego rozkoszą; że gdyby zwątpiał, ani chwili nie przeżyłby tak słodkiego omamienia. Dzięki Bogu! błąd jego trwał aż do ostatniego tchu i sama śmierć była ofiarą dla lubej ułudy która go uszczęśliwiała.

— Pan mnie obwiniasz? uczucia serca nie zawisły od woli, od rozumu, od sprawiedliwości: często kochamy obojętnego, gdy tymczasem źle się wywzajemniamy najszczerszej miłości.

— Jabym miał ciebie, Anno, obwiniać? Pan D* był jeszcze godzien zazdrości!

— Przypominasz Pan sobie, żem była prawie dzieckiem, kiedym za niego poszła; nie miałam żadnego o świecie wyobrażenia, serce moje nie okazywało żadnego znaku życia; weszłam w śluby jako w stan, ustawami kościoła i społeczeństwa przepisany, lecz wkrótce postrzegłam, że nie mogę być szczęśliwą. — Z tem wszystkiem, na los się spuściłam i, zostawszy matką, taiłam moją zgryzotę; ten nowy stan dodawał mi wówczas odwagi, i wszelką potęgę miłości, na którą się zdobyć mogłam, poświęciłam moim dzieciom; takim to sposobem pędziłam życie w niedobranem małżeństwie, ukrywając moje łzy i żądze, odmawiając sobie nadziei, zimna i w sobie zamknięta, kiedy tym czasem wewnętrznym ogniem byłam trawiona i niewymownie dręczona; mój przyjacielu, chcąc być cnotliwą, byłam najnieszczęśliwszą z kobiet!

— Byłaś nieszczęśliwą? dla czegożeś mi się nie zwierzyła, Pani, kochana Anna? dla czegożeś mi nie odkryła tajemnicy serca swojego.

— Tobie, tobie miałam się zwierzyć...! o, nie! tajemnica ta pójdzie zemną do grobu; nie pytaj się dalej Filipie, zlituj się nad nieładem, w który popadły myśli moje.

— Pytam się ciebie, proszę cię, abyś przerwała milczenie! tajemica mówisz? lecz gdybym miał odkryć się także tobie z tajemnicą, z tajemnicą, która od dawna stygnie na moich ustach, której tobie objawić nie przeszkadza mi honor teraz, kiedy smutny wypadek uwolnił cię od związków!

— Filipie, nie jestem wolna, wiesz jakie włożone są na mnie powinności! rok cały powinnam poświęcić we wdowieństwie jego pamięci; a w roku, ileż to się nie wydarzy wypadków!

— Cóż to jest rok jeden, kiedy się żyje w nadziei, a jeszcze dla mnie, który sześć lat spędziłem bez nadziei!... słuchaj Anno, ... ja cię kocham!

— Wiem o tem i wiedziałam już dawno, lecz powinnam była nie zważać na to, i teraz jeszcze jest moją powinnością, być posłuszną ślubom, które jego pamięci uczyniłam, i nie słuchać podobnych oświadczeń, aż za rok!

— A więc mię kochasz?....

Po tem oświadczeniu padł przed Panią D* na kolana i z uniesieniem całował jej ręce, które mu nadaremnie wydzierała.

Wtem ja, wszedłszy do pokoju niespodzianie, przerwałem scenę, a sam zmieszany, rzekłem: Filipie, już późno, wiesz która godzina?

— Dwunasta! krzyknęła Pani D*, spojrzawszy na zegar. Żegnam was, moi Panowie, dobranoc, moi przyjaciele; Panie Mellevas, jutro cały dzień nie będę w domu, pojadę na wieś, na świeże powietrze.

— W zimie na wieś! to niepodobna. Pora roku jest ostra, oprócz tego potrzeba, abyś Pa.

ni tu była dla swoich interesów; jutro zdejmą pieczęci, nie prawdaż, Panie Jacob? jutro, i zawsze obecność twoja jest konieczna. Pani nie pojedziesz.

— Nie pojedzie, odpowiedziałem, lecz my chodźmy: dobranoc Pani, zaczynam poznawać wasze stosunki.

Filip de Mellevas szedł w milczeniu, zwiesiwszy głowę, jak gdyby się na mnie chciał gniewać; gdy mnie odprowadził aż do mego pomieszkania, wziąłem go za rękę, nim ją jeszcze wyciągnął, i westchnąłem myśląc, że rady moje będą natrętne lub może bezowocne.

— Filipie, rzekłem łagodnie, przyjaciel nasz, umierając, wymagał od żony, aby rok jeden pozostała wdową; chciał więc zachować sobie cały rok po śmierci prawa małżonka: jestto myśl dziwaczna, sam przyznaję, z tem wszystkiem wola zmarłego jest święta, a Pan D* był twoim przyjacielem. — Jacob, odpowiedział, niezgrabnie ukrywając swoje pomięszanie,—prawda, kocham ją, od kilku lat już się wzajemnie kochamy, lecz miłość tę dotychczas taiłem, aby nie splamić sławy i nie zdradzić przyjaźni; lecz teraz życzeniu temu nic się nie sprzeciwia oprócz szczególnego warunku przyjaciela, któregośmy utracili; będziemy czekali rok cały, jeżeli termin ten nie może być skrócony!

— Czekać rok cały! macie jeszcze dziesięć miesięcy przed sobą, i każdy dzień, każda godzina grozi nieuchronnem niebezpieczeństwem. Myślisz WPan, że, oddaliwszy się, uchronisz się przed samym sobą? Pani D* dobrze pojmowała swoje położenie, kiedy chciała odjechać. Jestto środkiem najpewniejszym.

— Jakżeś okrutny, mój przyjacielu! zmuszasz mię do oddalenia się od niej, przypominasz mi to, o czembym chciał zapomnieć: a więc pojadę, jeżeli tego potrzeba.

— Mellevas jednak nie pojechał. Nazajutrz nalegałem, aby przyrzeczenia swego dotrzymał, lecz on odłożył do dnia następującego; potem dnia tego prosił mię o kilka dni zwłoki pod rozmaitemi pozorami. Widziałem dobrze, że między Panią D* a nim ciągle utrzymuje się porozumienie. Pani D* nic nareszcie nie wzmiankowała o odjeździe, a lubo czas ledwo co był zatarł ślady żalu, dosyć jednak sobie ufała, że zostanie wierną proźbie swego męża: kobiety zawsze lepiej myślą o swojej cnocie od mężczyzn! Nie powtarzałem już Filipowi daremnych i przykrych namów, udawałem, że nic nie widzę i nie słyszę, i ograniczyłem się jedynie na roli opiekuna.

— Pan D* zabezpieczył się od poszukiwań, któreby zniknienie jego mogło było spowodować, i pod przybranem imieniem przeszedł całą Francyją, aby się schronić do Sabaudyi; za pieniądze, których nie szczędził, dostał ubioru i paszportów aż do granicy, z gazet dowiedział się o swojej śmierci, którą pogłoska przypisywała zgryzotom domowym, potwarz ta tyle go rozgniewała, że chciał sam pogłoskę tę odwołać w gazetach, lecz się zdziwił, że bankructwo jego nie było jeszcze wiadome; codzień szukał w gazetach paryzkich tego doniesienia, co dzień niespokojność jego wzrastała, że go nie znachodził. Jechał powoli, jak gdyby każdego dnia chciał się do domu wrócić, unikał gospód uczęszczanych, powozów publicznych, na koniec, po piętnastu dniach przybył do Chambery, aby tam mógł z Francyi odbierać wiadomości.

*

Oczekiwanie pomnażało w nim nudy samotności, a milczenie, które pisma publiczne o jego zachowywały bankructwie, wzniecało w nim nowy rodzaj zgryzoty, którejby jawne ogłoszenie tego bankructwa nie było zrodziło; dręczył się bowiem w umyśle odgadnieniem przyczyny tego milczenia i obwiniał swoją żonę i swoich przyjaciół, zamiast coby im miał być wdzięcznym za to, że spóźniali dla jego honor

tak dotkliwe ogłoszenie; egoizm równie nieubłaganym jest dla innych, jak sobie pobłażającym. Z niecierpliwością chciałby się był dowiedzieć szczegółowo o wszystkiem, co po mniemanem jego samobójstwie zaszło; dwadzieścia razy brał do ręki pióro, aby napisać do żony swojej i wszystko jej objawić, lecz listy, ledwo rozpoczęte, wnet rozdzierał, myśląc, że cios, zadany nagłą radością, niemniej jest niebezpieczny od razu, przestrachem i rozpaczą żadanego.

Wahał się potem w myślach, czyliby nie wypadało prosić listownie mnie lub Filipa o objaśnienie, jakim sposobem ocalono jego sławę do tej przynajmniej chwili, lub jaką drogą przeszkodzono zhańbieniu jej w opinii publicznej. Rozczulił się myślą, że się nie widział skazanym pod pręgierz haniebny, i żal jego bardziej jeszcze się wzmógł tą myślą; żal szczery i szlachatny, rozprzestrzeniający szczególny blask na przeszłe nienaganne życie, któremu wstyd i bojaźń wątek przeciąły. Nie śmiał już nawet listem stanąć przed tymi, których poważał, zgubił się sam własnem dla żony swojej poświęceniem się i własnym błędem zanadto uważał się być spodlonym, aby zań błagać mógł przebaczenia. Czyliżby żona jego chciała dzielić z nim los i koleje wygnańca? Filip de Mellevas i ja nie byliżeśmy wykluczeni z koła jego przyjaciół samem oszustwem rozmyślnego bankructwa jego? tak rozmyślał, i tem się dręczył, o! ten grosz, którym hojnie sypał, drogo mu przyszedł!

Na koniec, po uśmierzeniu tysiącznego wezbrania uczuć i projektów, rozmyślił się powrócić do Francyi, bez wątpienia, jak mniemał, dla oczyszczenia się z uczynionych sobie przed sądem karzącym procesów, i wrócić do Paryża dla wzięcia ztamtąd z sobą swojej kochanej żony, jeżliby chciała z nim dzielić to dobrowolne wygnanie; najął więc sobie miejsce w dyliżansie, i po trzech dniach, błąkając się wieczorem po ulicy St. Andrée des Arcs, zaglądał do swego domu. Lecz stanęły mu przed wyobraźnią myśli trwożliwe: bał się przestraszyć swoich domowników, przed którymi gdyby się pokazał, byłby dla nich upiorem; dla własnego bezpieczeństwa jego byłoby rzeczą daleko ważniejszą, żeby go żona sama i sam na sam zobaczyła. Lecz jakże się dostać do jej pokoju, nie przechodząc przez przedpokoje? postanowił więc, i na to sobie przysiągł, że nas z swojej wyłączy poufności, a osobliwie mnie, którego uważał za bardzo cnotliwego: nigdy bardziej nie żałował swojej nagannej ucieczki.

Noc była ciemna. Postrzegł, że brama do cmentarza była otwarta; grabarz wykonywał swą robotę. P. D* zadrżał usłyszawszy, jak ten człowiek, za każdem uderzeniem motyki, przyśpiewuje sobie w takt piosnkę karczemną; wypadki tej samej nocy miesiąca przeszłego na raz stanęły mu przed oczymi. Nagle nie wiedząc sam, co ma na tej czynić widowni, wsunął się pod cieniem muru i grobowców za pomnik rodziny D'Agusseau, i tam skulony czekał, póki grabarz nie ustąpi mu z pola i nie zamknie go z umarłymi. Pan D* nie bał się, bo sam był dla całego świata straszydłem. Czekał, nim późna noc pogrąży domy okoliczne w ciemności i we śnie; potem przystawiwszy drabinę, która mu już raz w podobnej okoliczności służyła, do okna swojej komnaty, które na pół było otwarte, dostał się do niej, jak pierwej z niej był wyszedł.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Szarada.

Pierwsze litera, litera *trzecie*,
Drugie odwrotne broń starodawna.
Wszystko ptaszyna tylko jest przecie,
Z głosu swojego wielce zabawna.
